



Ryszard Sierpiński (1896-1983)

# Inspektor RYSZARD SIERPIŃSKI

(1896-1983)



yszard Sierpiński urodził się na Podolu. W czasie rewolucji w 1917 roku stracił rodziców i całe mienie, a sam przez Turcję uciekł do Polski. Tu studiował leśnictwo w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Jego żona (pobrali się w Warszawie) pochodziła ze szlacheckiej polskiej rodziny w guberni witebskiej.

Również w czasie rewolucji straciła rodziców i majątek, sama zaś przez Mińsk przedostała się do Polski, gdzie na Uniwersytecie Warszawskim studiowała polonistykę. Jednak w 1928 roku zmarła przy urodzeniu dziecka. Po jej śmierci Sierpiński wyjechał z córeczką na Kresy Wschodnie i w Nadleśnictwie Naliboki, w woj. nowogródzkim, objął najpierw funkcję leśniczego, a następnie nadleśniczego. Siedziba nadleśnictwa znajdowała się w głębi Puszczy Nalibockiej, w osadzie Budy, oddalonej 16 km od Nalibok. Po pięciu latach powtórnie się ożenił i z tego małżeństwa urodził się syn Jerzy.

10 lutego 1940 roku cała pięćosobowa rodzina (Sierpiński z żoną, dwoje dzieci i teściowa staruszka) została wywieziona do obozu w rejonie Wożega, na północ od Wołody. Do tego samego obozu został również deportowany leśniczy Sierpińskiego – Stanisław Czaiński ze swą rodziną (czytaj na stronach: 310-335). Przez cały okres pobytu na zesłaniu przebywali razem i łączyły ich wspólne losy.

Po układzie Sikorski-Majski i ogłoszeniu amnestii dla Polaków Czaiński i Sierpiński wyruszyli ze swymi rodzinami na południe, do armii generała Andersa. Jednak w Swierdłowsku władze radzieckie nie przepuściły transportu na południe, kierując go na południowy wschód przez Omsk, Nowosybirsk, Barnauł do miasta Bijsk w Kraju Ałtajskim, blisko granicy z Mongolią i Chinami. Po przewiezieniu do stacji Gordiejewo zatrudniono ich w pobliskim sowchozie jako robotników rolnych. Po pewnym czasie Sierpińskiego i Czaińskiego powołano do Omska, gdzie najpierw pracowali przy organizowaniu wzorcowego sowchozu, a następnie przy urządzaniu okolicznych lasów.

W 1946 roku Sierpiński powrócił wraz rodziną do Polski. Wkrótce potem podjął pracę w leśnictwie, najpierw jako nadleśniczy w Nadleśnictwie Łobez, w ówczesnej lubuskiej dyrekcji Lasów Państwowych, a następnie przeniósł się do Chojnic w dyrekcji toruńskiej (1952), gdzie aż do przejścia na emeryturę pracował jako inspektor Lasów Państwowych. Zmarł w wieku 87 lat, w 1983 roku.



Dzień Lasu na Kresach Wschodnich w Nadleśnictwie Naliboki (woj. nowogrodzkie), w r. 1935. Pierwszy z prawej stoi nadleśniczy Ryszard Sierpiński. Pośrodku grupy, częściowo zakryty, w czapce i mundurze leśnika – leśniczy Stanisław Czaiński. Fot. archiwum rodziny Czaińskich

Autorką wspomnień jest córka Ryszarda Sierpińskiego z pierwszego małżeństwa, która w chwili aresztowania i deportacji miała nieco ponad 11 lat. W okresie pobytu w Kraju Ałtajskim na niej spoczywało – pod nieobecność ojca – wyżywienie i utrzymanie całej rodziny.

## **RODZINA**

Na początku kilka szczegółów o mojej rodzinie. Ojciec – Ryszard Sierpiński, urodzony w 1896 roku w Suhakach na Podolu, stracił rodziców i całe mienie w czasie rewolucji w 1917 roku. Uciekł z Rosji przez Turcję do Polski. Tu skończył Wydział Leśny na SGGW w Warszawie. Matka – Waleria Sierpińska, z domu Okulicz-Kozaryn, urodziła się w 1898 roku w Rosji, na terenie guberni witebskiej. W czasie rewolucji w 1917 roku straciła całą rodzinę i majątek, który został nadany jej przodkom za szczególne męstwo i odwagę. Okulicz-Kozarynowie walczyli aż do zawarcia pokoju u Chodkiewicza – hetmana [...]. Matka przez Mińsk uciekła przed rewolucją do Warszawy. Na Uniwersytecie Warszawskim ukończyła polonistykę. Tu, w Warszawie, wyszła za mąż i w 1928 roku zmarła przy urodzeniu dziecka. Jest pochowana na Bródnie. Tym dzieckiem jestem ja, Teresa Waleria Sierpińska, po mężu Januszewska.

Po śmierci matki ojciec wyjechał na Kresy Wschodnie. Zamieszkaliśmy w Puszczy Nalibockiej, powiat Stołpce, woj. nowogródzkie, Nadleśnictwo Budy Naliboki. Po pięciu latach ojciec ożenił się powtórnie. Z tego związku jest mój przyrodni brat Jerzy. Mieszkała z nami matka macochy, 70-letnia staruszka. W takim składzie zostaliśmy wywiezieni do ZSRR 10 lutego 1940 roku – razem pięć osób [...].

## **SIEDZIBA NADLEŚNICTWA**

Nadleśnictwo było położone bardzo pięknie nad Niemnem, w Puszczy Nalibockiej, daleko od miast: do Stołpców było 50 km, do Nowogródka 45 km. W puszczy żyła różnorodna zwierzyna i dzikie ptactwo. Co roku przyjeżdżali tam myśliwi z Francji, Niemiec i całej Polski. Szczególnie zimą polowano na dziki, lisy, rysie i wilki.

Mieszkaliśmy tam w ciszy i spokoju aż do wojny 1939 roku. Osiedle nasze składało się z pałacyku myśliwskiego po byłym właścicielu Niemcu, od którego skarb państwa otrzymał puszcę i pałac po 1919 roku. W drugim, mniejszym budynku mieszkał sekretarz z rodziną i woźny. W trzecim mieściła się firma żydowska, która na mocy umowy eksploatowała drewno i spławiła je Niemnem. Do najbliższego miasteczka Naliboki, w którym mieszkali Żydzi i w mniejszości Białorusini, było 16 km bardzo złej drogi przez las. W miasteczku była siedmioklasowa szkoła, kościół, trochę żydowskich sklepików – i to wszystko. Biura nadleśnictwa mieściły się w pałacyku, tam też było mieszkanie prywatne nadleśniczego.

## NOCLEG W NADLEŚNICTWIE EKIPY ADAMA LORETA

15 września 1939 roku ojciec otrzymał wiadomość, że z Warszawy wyruszyła do nas kolumna samochodów<sup>1</sup>, a w niej Naczelną Dyrekcja Lasów Państwowych z dyrektorem na czele. Dyrektor, o ile pamiętam, nazywał się Loret. Było z nim 27 osób, w tym dwie kobiety – sekretarki. Był jeden wojskowy łązik, chyba z obstawą. Miałam wtedy 11 lat i piszę to, co zapamiętałam, widziałam i znam z opowiadań ojca. Razem było siedem osobowych aut<sup>2</sup>. Mieli u nas odpocząć, przenocować i następnego dnia ruszyć do Rumunii. Ponieważ na wypadek wojny w Puszczy zmagazynowano duże ilości paliw, goście mieli zaopatrzyć się w paliwo na dalszą drogę.

Przyjechali do nas 16 września po południu. Zjedli obiad i odpoczywali. Przyszedł nasz woźny i powiedział do ojca, że goście powinni zaraz odjechać dalej, bo ściągną na jego głowę tylko nieszczęście. Po pewnym czasie Żydzi, rozmawiając z ojcem, powiedzieli, że wszyscy powinni już jechać, czasy są niespokojne i jak najszybciej powinni się znaleźć w Rumunii. Niestety nie powiedzieli, że następnego dnia wkroczą Rosjanie, a nikt tego nie przewidział, nie domyślił się nawet ojciec. Jednak goście zostali powiadomieni przez ojca, że wszyscy radzą im jechać. Po naradzie postanowili nocować. Ojcu i pracownikom wypłacili pensje za pół roku naprzód. Wieźli ze sobą dużo pieniędzy, złota, kosztowności. Po prostu dorobek życia. Nie było z nimi rodzin. Te zostały w Warszawie. Młody porucznik pojechał wojskowym łązikiem do Leśnictwa Kleciszcze po paliwo. Miał wrócić w nocy. Już nie wrócił. Jak się później okazało, był jedyną osobą, która się uratowała przed Rosjanami. Kiedy byliśmy na Syberii, od tego porucznika przyszła kartka z Grecji z pozdrowieniami i podziękowaniem za gościnę. Jak udało mu się uciec z Polski nie wiemy, ani skąd miał nasz adres<sup>3</sup>.

Przez całą noc ojciec palił w kominku tajne dokumenty. Takie dostał polecenie od dyrektora. A rano wszyscy wstali o godzinie 4.30 i zaczęli szykować się do podróży. Zjedli śniadanie, włączyli radio i już usłyszeli głos przemawiającego Stalina<sup>4</sup>, że wojska radzieckie przekroczyły granice Polski. Zrobił się popłoch, niektórzy z nich płakali. Od nas do głównego traktu prowadzącego na południe było 7 km leśnej drogi. Zaraz wszyscy odjechali, licząc, że zdążą przed wojskiem. Niestety, na skrzyżowaniu spotkali sowieckie czołgi<sup>5</sup>. Rosjanie potraktowali ich bardzo brutalnie. Zabrali samochody i również to, co mieli. Zawieźli ich do więzienia w Nowogródka, a potem na Kołymę. Dwie kobiety po śledztwie podobno zwolnili i wróciły do Warszawy<sup>6</sup>. Ale nie wiem, czy tak było naprawdę.

## WOŹNY KONFIDENTEM

Pragnę opisać woźnego, który odegrał szczególną rolę po wkroczeniu wojsk sowieckich 17 września 1939 roku. Nazywał się Michno. Był Białorusinem, mieszkał z żoną i czwórką dzieci w budynku administracyjnym. Komunistą był z przekonania i regularnie chodził przez zieloną granicę z meldunkami do ZSRR. Ojciec i wywiad

wojskowy byli o tym poinformowani. Jednak z pracy nie został zwolniony. Był bacznie obserwowany. Podsuwano mu różne fałszywe dokumenty. Jeździł po poczcie do miasteczka, ale listy ważne i poufne ojciec odbierał osobiście. Chyba niewiele mu Rosjanie płacili, bo żył z rodziną bardzo skromnie, a dzieci ubierała przeważnie moja matka. Kiedy 17 września wkroczyły wojska radzieckie, nasz woźny Michno witał je bardzo serdecznie.

### **ARESZTOWANIA, PRZESŁUCHANIA**

Uzbrojony oddział sowiecki przyjechał do nadleśnictwa po południu 17 września. Już wiedzieli, że ojciec miał ważnych gości. Wyprowadzili ojca do lasu i pewnie by go zabili, ale nasz woźny Michno poręczył swoją głową, że ojciec nie należał do żadnej partii i nie zajmował się polityką. Wrócili z lasu i robili rewizję. Zabrali całą broń myśliwską i amunicję. Szukali złota, ale nie znaleźli. Kasetka była pod poduszką w sypialni, a oni szukali pod materacami. Tym razem ocalało.

Dwa tygodnie minęły spokojnie, po czym jednej nocy przyszła grupa uzbrojonych Białorusinów i zabrała ojca do więzienia w Nowogródku. Prowadzili go pieszo 45 km i po drodze zabierali innych. Nie było wiadomo, czy kogoś po drodze nie zabiją. Zaczęły się nocne przesłuchania: czy w Puszczy nie ukrywają się oddziały wojska, czy nie ma partyzantki, czy ojciec coś wie o ludziach z II Oddziału Wojskowego (wywiad), którzy przyjeżdżali do ojca, gdzie są nazwiska i adresy. Na żadne z pytań ojciec im nic nie odpowiedział, bo wielu rzeczy naprawdę nie wiedział, a to co wiedział, i tak od wyroku by go nie uchroniło. Po kilku dniach do Nowogródka przyjechali Żydzi z firmy, tej od spławiania drewna, i poręczyli za ojca własnymi głowami. Oni też byli komunistami i po wkroczeniu wojsk sowieckich liczone się z ich zdaniem. Po naszej deportacji i wypowiedzeniu wojny przez Hitlera wyjechali do Związku Radzieckiego. Nie wyjechał Michno, Rosjanie kazali mu zostać i pracować dla nich. Niemcy, po wkroczeniu, powiesili Michnę za współpracę z komunistami.

### **POD NOWĄ WŁADZĄ**

Władza radziecka zaczęła urzędowanie od przystania komisarza do Nalibok. Ten oczywiście musiał się luksusowo urządzać z rodziną, więc zaczął rabować co zamożniejszych obywateli. Rodzice moi w 1937 roku kupili nowe piękne meble, dywany, różne piękne drobiazgi. Cały dom był już urządzony. Komisarz ze swoimi ludźmi wywiózł od nas rzeczy na 11 wozach: meble, dywany, porcelanę, szkło, bieleźną pościelową, osobiste rzeczy, nawet ubrania dziecięce, moje i brata. Zostaliśmy w jednym pokoju, zagubieni i przerażeni. Zabrali nam albumy rodzinne, żebyśmy zapomnieli, że kiedyś było inaczej.

Jednak okazało się, że rodzicom udało się coś uratować. To nas ocaliło na Syberii od głodu. Nim przyjechał komisarz ze swoimi ludźmi, rodzice przygotowali dwie duże walizki. Do jednej włożyli srebrne sztucce i inne drobiazgi, do drugiej suknie,

bieliznę, pantofle, rękawiczki i inne drobne rzeczy, bardzo ładne, kupowane w Warszawie i Wilnie. To ojciec z naszą pokojówką Zosią zakopali nocą w trocinach w drewniaku. Kiedy wywozili nas saniami do stacji kolejowej Stołpce, w nocy 10 lutego 1940 roku, Zosia wymknęła się, odkopała wszystko i wrzuciła na sanie tak, że nikt tego nie zauważył. Złote drobiazgi w metalowej kasetce zakopał wcześniej w stajni nasz stangret Józef, razem z ojcem. Był to stary Białorusin, traktowany przez rodziców jak członek rodziny. Niestety nie przyniósł tego, chociaż mógł, nikt go nie pilnował. Nie znając ich wartości, po naszym wyjeździe sprzedał te pamiątki za bezcen na targu w Nalibokach.

## **WYWIEZIENIE DO OBOZU NA PÓŁNOC OD WOŁOGDY.**

### **WARUNKI OBOZOWE**

Wyjechaliśmy z Polski 10 lutego 1940 roku. Zima była ciężka, mrozy dochodziły na Kresach Wschodnich do  $-40^{\circ}\text{C}$ . Na Syberii zima była jeszcze cięższa, tam mrozy przekraczały  $-40^{\circ}\text{C}$  i śnieg leżał do maja.

Do stacji kolejowej Stołpce dojechaliśmy saniami – 45 km. Tam już stały wagony bydłące z piecykami żelaznymi w środku. Było w nich bardzo zimno. Pościel przymarzała do prycz. Jechaliśmy parę tygodni w zamkniętych wagonach. Cały transport był strzeżony przez uzbrojonych żołnierzy. Przyjechaliśmy do stacji Wożega. Tam kazali nam wysiadać i ładować się na sanie. Do miejsca przeznaczenia było 60 km. W środku lasu stały drewniane baraki, cały obóz otoczony drutami kolczastymi i pilnowany przez NKWD-zistów z psami. Nazywał się ten obóz Zielony Bor.

Wewnątrz baraków były prycze zbite z desek. Każda rodzina otrzymała miejsce na pryczy, a przywieziony dobytek mieścił się pod pryczami. Pośrodku baraku stał żelazny piecyk, który ogrzewał; na płycie można było coś ugotować. Na początku każda rodzina jeszcze mogła coś ugotować z zapasów przywiezionych z Polski, później chodziło się do wsi i wymieniało rzeczy zabrane z Polski za ziemniaki i mąkę, bo niczego innego ci ludzie nie posiadali. Do wsi można było iść, uzyskawszy przepustkę od komendanta, na określony czas i do wiadomej wsi. Komendant nazywał się Dobrowolski, takie polskie nazwisko. Może nie był jeszcze najgorszy. W obozie była stołówka i do czasu wojny z Niemcami nikt nie głodował. Było proste jedzenie, jakieś zupy i kasze kraszone olejem słonecznikowym. Jednak kiedy zaczęła się wojna, stołówkę zamknięto i wszystkie produkty przeznaczono dla wojska. Polakami nikt się nie przejmował.

W naszym obozie byli nadleśniczowie, leśniczowie i gajowi z rodzinami, zarówno z lasów państwowych, jak i prywatnych, np. Radziwiłła. Pamiętam, że od ojca był gajowy Dubicki i Hołaj, od Radziwiłła leśniczy Łazarz z żoną i dwójkiem dzieci. Początkowo była z nami tylko jego żona z dziećmi, a on gdzieś na wojnie.

Potem, przed zagładą naszych oficerów w Starobielsku, NKWD przywiozło go do żony. Stwierdzili, że był tylko plutonowym, więc szkoda było kuli dla niego.

W naszym regionie nie było tartaków ani innych zakładów przerabiających drewno. We wsiach nie było wodociągów, kanalizacji ani światła elektrycznego. W każdej chacie był drewniany stojak do łuczywa. Smolne listwy wkładało się do stojaka i zapalało. Siedział sobie stary dziadek i zmieniał listwy, żeby zawsze było jasno. Kobiety skubały pierze albo przędły wełnę na skarpety i rękawice.

## DARY PRZYRODY

Mieszkaliśmy w środku dużego lasu, na terenie podmokłym. Kilka kilometrów od obozu płynęła duża spławna rzeka Kubina<sup>7</sup>. Od wiosny do jesieni w lasach pełno było pięknych kwiatów, jagód i grzybów. Dużo było zwierzyny: sarny, jelenie i łosie, które spacerowały bardzo blisko ludzi, jak pasące się krowy. Nikt do nich nie strzelał, bo pozwolenia na broń mieli tylko zatrudnieni myśliwi. Oni ustrzeloną zwierzynę musieli oddać i rozliczyć się z amunicji. Myśliwi polowali przeważnie na zwierzynę z pięknymi skórami, bo za to państwo płaciło dobrze.

Były też specjalne zbieraczki, które zbierały żurawiny i dostarczały do szpitali. Ponieważ było mało lekarstw, a niektórych wcale, wykorzystywano zioła. Żurawina obniża gorączkę i ciśnienie.

## PRACA W LESIE

Wszyscy pracowali w lesie – mężczyźni, kobiety, dzieci. Mężczyźni zajmowali się wyrębem lasu, młodsze kobiety też. Reszta obcinała gałęzie i znosiła na sterty, które później palono. Część kobiet cięła piłami bale i układała w sęgi na zrębach. Nikt nie zalesiał zrębów, jak to się robi w Polsce i na świecie. Ponadto z brzoźowych bali cięto kilkunastocentymetrowe klocki, a potem je rąbano na małe kawałki. Po podsuszeniu używano ich do napędu samochodów ciężarowych, które pracowały w lesie. Ciężarówki miały wysokie kominy do odprowadzania spalin. Te małe kawałki brzoźowe nazywały się po rosyjsku „czuryczki”.

Zimą też ścinano i przygotowywano drewno. Część ludzi zajmowała się zwożeniem drewna nad rzekę Kubienę. Do tego służyły ciężkie traktory gąsienicowe. Do traktorów doczepiano duże i długie sanie, do 10 sztuk, na trzech płozach: jedna, środkowa, szeroka i dwie boczne ruchome, węższe. Dla tych sań budowano drogę przez las do samej rzeki. Nazywała się lodzianka, od słowa lód. Droga miała szerokość dwóch pasm naszej drogi i jeszcze pobocza. Na tej trasie latem nie ścinano drzew, tylko karczowano. Ziemię wyrównywano. Zimą, kiedy spadły duże śniegi i był mróz, drogę trzeba było przystosować do zwózki drewna. Pośrodku drogi łopatomi kopało się w śniegu rynnę, a po bokach – takie węższe koleiny. Następnie jechał traktor z beczką i polewał wodą. Aby dobrze zamarzło, polewał kolejno kilka razy, aż w rynnie był twardy lód, a po bokach dobrze ubity śnieg. Droga biegła aż do rzeki.



Miała chyba długość 5-7 km. Podzielona była na 500-metrowe odcinki, na których pracowały dzieci. Przychodziło się rano, a kończyło się, jak już się ściemniało. Praca nasza polegała na zmiataniu swojego odcinka miotłą – tej właśnie rynny i bocznych kolein. Jeżeli padał śnieg, to pracy było dużo, bo trzeba było pracować łopatą. Tak było całą zimą, aż do stopnienia śniegu. Dorośli ładowali drewno na sanie w lesie i rozładowywali nad rzeką. Wiosną, jak rzeka ruszyła, zaczynało się spławianie. Tratów nie wiązano. Spychano pojedyncze sztuki ze skarpy do wody.

Na poboczach wolno było palić ogniska, jeżeli droga była czysto zamieciona, wolno było coś zjeść i ogrzać się. Przeważnie mieliśmy ze sobą suchy chleb. Rumieniło się chleb na patyku i to było nasze jedzenie. Od baraków do lodzianki było kilka kilometrów, które trzeba było przejść codziennie.

Praca w lesie była bardzo ciężka, zwłaszcza dla ludzi nie przyzwyczajonych do niej. Dlatego ojciec i matka trafili do szpitala w Woźedze [Wożega] na operację przepukliny. 60 km przebyli na wozie, bo nie było innej możliwości. Miejscowa ludność również pozostawała bez opieki lekarskiej. Ratowali się sami ziołami i Polaków tego nauczyli. Lekarka pojawiła się w obozie, kiedy Niemcy wypowiedzieli wojnę. Była żoną wysokiego NKWD-zisty z dwojgiem dzieci. Wystali ją w głąb Rosji z Leningradu przed groźącą blokadą. Starła się ratować, nas Polaków też, ale nie miała lekarstw.

Wiosną wybuchła epidemia odry z powikłaniami u dzieci. Umarło 2/3 małych dzieci. W niektórych rodzinach zmarły wszystkie, zarażając się jedne od drugich.



Brygada kobiet przy wyróbce drewna stosowego w syberyjskim lesie. Fot. archiwum

My z bratem przeżyliśmy, bo była z nami babcia, która pilnowała nas i nie pozwoliła wyjść z łóżka, aż minęła choroba. Dzieci umierały na zapalenie płuc.

W naszym leśnym obozie było dużo mężczyzn w wieku od 30 do 60 lat, jak również młodzieży do 20 lat. Młodzi stworzyli brygadę, którą nazwali „złota brygada Amelusika”, od nazwiska brygadzysty. Nie wiadomo o czym między sobą rozmawiali w lesie, może o Polsce, o powrocie, ucieczce. Ktoś podsłuchiwał, ktoś doniósł. Całą brygadę wywieźli na Kołymę, a może i dalej. Dla rodziców tych młodych ludzi była to tragedia. Jeden z nich, który wrócił do rodziny w 1946 roku, nie miał ani jednego zęba. Panowały tam nieludzkie warunki pracy, temperatura -50°C, głód, ciężka praca, brak jarzyn. Statek przywoził zaopatrzenie, jak puściły lody, raz w roku, i wracał. Wszyscy chorowali na szkorbut. Co stało się z resztą młodzieży, nie wiem.

W tym samym czasie [1941 r.] resztę mężczyzn zamknięto w więzieniu w Wołogdzie. Nie wiadomo za co. Wrócili po amnestii dla Polaków, którą załatwił generał Sikorski w wyniku układu ze Stalinem. Na mocy tej umowy staliśmy się ludźmi wolnymi i mogliśmy się przemieszczać po całym Związku Radzieckim.

## WYJAZD DO KRAJU AŁTAJSKIEGO

Po ogłoszeniu amnestii dla Polaków w obozie zaczęto się naradzać nad wyjazdem gdzieś na południe, gdzie nie ma lasów, a sieją zboże – do sowchozów. Nasi rodzice postanowili wyjechać w okolice Taszkientu, gdzie tworzyło się wojsko polskie. Ojciec miał wtedy 45 lat. Rosjanie dostarczali bydłące wagony i w miarę możliwości odprowadzali transporty z Polakami na południe. W tym czasie trwała już wojna z Niemcami i pierwsi ranni byli transportowani za Ural, podobnie jak fabryki i urzędy. Możliwości kolei były ograniczone. Polacy mieszkający bliżej stacji kolejowych wyjechali wcześniej i dotarli na południe. Kiedy my dojechalismy do Swierdłowska, droga na południe była już zamknięta. Panowała tam epidemia tyfusu i innych chorób. Ludzie, wygłodzeni i wycieńczeni ciężką pracą, umierali masowo, nieraz całe rodziny z dziećmi. Tak rodzice stracili znajomych, którzy wyjechali przed nami. Brak było podstawowych lekarstw, lekarzy, szpitali. Nas skierowano przez Nowosybirsk, Barnaul do Ałtajskiego Kraju, w okolice Bijska. Zamieszkaliśmy w sowchozie „Proletariat”.

## W POGONI ZA POCIĄGIEM Z RODZICAMI

Zanim dojechalismy na miejsce, a trwało to chyba sześć tygodni (już dobrze nie pamiętam), zdarzyło się kilka dramatycznych epizodów. Po dwóch tygodniach podróży nie mieliśmy już żywności. Kupić też nie było możliwości. Na postojach, które trwały nieraz parę dni, dzieci zaczęły szukać czegoś do jedzenia. Było nas chyba pięć osób, dziewczęta i chłopcy. Pewnej nocy odkryliśmy transport konserw amerykańskich w zaplombowanych wagonach, których pilnowali uzbrojeni żołnierze. Kiedy wartowników zmorzył sen, otworzyliśmy wagon. Przechodząc pod

wagonami, wynieśliśmy kartony mleka skondensowanego, puszki z koniną, puszki rybne. Rodzice byli przerażeni. Na szczęście nasz transport rano odjechał w dalszą drogę. Zapewniło to nam jakieś wyżywienie na pewien czas. Nie mieliśmy soli i nie można było jej kupić. Na jednej stacji znaleźliśmy cały transport soli, przewożony z kopalni na otwartych wagonach. Poszliśmy więc z wiaderkiem, nasypaliśmy soli i już prawie nam się udało, kiedy wyrosła przed nami rosyjska milicjantka. Kazała sól wysypać, a nas poprowadziła do komisariatu. Było nas pięcioro, a ona jedna, więc jej uciekliśmy. Miała broń, ale nie strzelała do nas.

Kiedy nasz transport zatrzymywał się, należało zaopatrzyć się w wodę. Zawsze pytaliśmy, jak długo będziemy stali. Tym razem wzięłam moje wiaderko i o szóstej rano poszłam po wodę. Ubrana byłam w krótki zakopiański kożuszek, wełnianą czapkę, sznurowane buciki, bez rękawiczek. Był mróz i jeszcze była zima, chociaż był marzec. Kiedy po 15 minutach przyszłam z wodą, naszego transportu już nie było. Odjechał po paru minutach postoju. Poszłam do zawiadowcy stacji. Śmiał się tylko: mogę pracować na tej stacji, a w tym wojennym bałaganie pewnie nie spotkam rodziców. Stacja nazywała się Swieczka, po polsku Świeca. W tym czasie władałam językiem rosyjskim tak dobrze, jak polskim. Dzieci nauczyły się języka bardzo szybko.

Postanowiłam dogonić nasz „eszołn” za wszelką cenę. Najszybciej podążyły za Ural, tzn. od Uralu na wschód, pociągi z rannymi. Postanowiłam poczekać na peronie na taki „eszołn”. Po godzinie nadjechał. Stał 25 minut. Miał w swoim składzie wagony osobowe z ciężko rannymi i na końcu kilka bydłowych z lżej rannymi. Cały peron obstawiony był kolejową milicją. Kilka razy zwracano mi uwagę, że trzeba się odsunąć od pociągu. Ja jednak postanowiłam jechać właśnie tym pociągiem. Nie wiedziałam dokąd nasz „eszołn” skierują za Uralem, ale wiedziałam, że pojedziemy dalej.

Kiedy pociąg ruszył i nabierał szybkości, wskoczyłam na schodki wagonu osobowego i kurczowo uchwyciłam się poręczy. Ktoś z peronu krzyczał, strzelał do góry, ale ja już jechałam. Nie wiem, jak długo tak jechałam. Byłam sztywna i skostniała z zimna. Drzwi do wagonów były zamknięte. Jakaś pielęgniarka, przechodząc z jednego wagonu do drugiego, zauważyła mnie. Ktoś dostał się na schodki, przytrzymał mnie, otworzyli drzwi i zabrali do środka. Rozcierali spirytusem nogi, ręce. Dali gorącej herbaty z wódką, dali obiad i musiałam wszystko opowiedzieć. Cały czas jechaliśmy, a ja siedziałam w ciepłym wagonie.

Jak tylko pociąg zatrzymał się na stacji, kazali wysiąść. Nie mogłam podróżować z wojskiem. Podziękowałam i poszłam na koniec pociągu. Poprosiłam żołnierzy, żeby mnie zabrali. Zgodzili się i tym samym pociągiem jechałam dzień i noc, nie wiedząc czy rodzice jadą przed nami, czy za nami. Aż w nocy, kiedy drzemałam przy drzwiach, a pociąg stał, usłyszałam głos ojca, który chodził między „eszołnami” na każdym postoju i wołał mnie po imieniu. Podziękowaliśmy z ojcem

moim rannym żołnierzom za gościnę i poszłam do naszego wagonu. Już do końca naszej podróży ojciec pilnował mnie jak oka w głowie. W ten sposób dotarliśmy do Ałtajskiego Kraju.

## W SOWCHOZIE

Nasze wagony skierowano, przez Nowosybirsk i Barnaul, do stacji kolejowej Gordiejewo. Pracowaliśmy w pobliskim sowchozie „Proletariat”, latem w polu, zimą na elewatorze, blisko ziarna, a w ten sposób i chleba. Jednak nadal było zimno i głodno. Ziarno można było tylko ukraść, ale jak złapali, można było spędzić kilka lat w więzieniu.

Krótko po osiedleniu się w sowchozie, ojciec był zmuszony wyjechać w okolice Omska. Ze swoim leśniczym, panem Czaińskim, musieli przyjąć pracę przy urządzaniu wzorcowego sowchozu, takiego który można pokazać zagranicznym delegacjom. Musiał być park i fachowo posadzone odpowiednie drzewa i krzewy. Po tej pracy zlecono im inne zadania w okolicznych lasach. Ojciec wrócił do nas dopiero na wiosnę 1946 roku i z nami jechał do Polski.

Utrzymanie i wyżywienie czterech osób spoczęło na mnie. Było bardzo ciężko, panował głód. Wszystkie wartościowe przedmioty dawno zostały sprzedane. Jedliśmy chleb na kartki: 0,5 kg dla ciężko pracującego, tzn. dla mnie, 100 g dla brata, 100 i dla babci i 300 g dla matki, która pracowała w pracowni dziewiarskiej. Resztę, tzn. ziarno, trzeba było ukraść. Mieliśmy takie małe żarna, zrobione chałupniczo, na nich mieliło się ziarno pszenicy albo inne i piekło się na płycie kuchennej podpłomyki. Wszystko trzeba było robić po kryjomu.

Zimą nie było opału, trzeba było jechać do lasu wołem zaprzężonym w sanie, wyrąbać takie karłowate brzozy i przywieźć do domu. Matka zupełnie nie mogła sobie poradzić, nie była przygotowana do takich obowiązków. Babcia była sparaliżowana po wylewie. W takim stanie przywieźliśmy ją do Polski, gdzie umarła w 1948 roku. Mając 13 lat, byłam za nich odpowiedzialna, zastępowałam nieobecnego ojca.

Praca w sowchozie trwała od świtu do nocy, zarówno zimą, jak i latem. Zimą woziliśmy saniami zboże do stacji kolejowej Gordziejewo. Przywiezione worki musieliśmy sami załadować na wagony. Nikt nigdy nie płacił nam za pracę. Podpisywało się tylko na liście płac, a pieniądze szły albo na nowy czołg dla jakiejś jednostki, albo na nowy samolot. Zimą wydawali buty do pracy, nazywały się walonki, a zamiast skarpet wkładało się siano albo onuce. Wydawali również pikowane spodnie i kurtki, i w tym chodziło się do pracy.

Zimy były tam długie i ostre. Wiąły po kilka dni śnieżyce, które nazywały się burany. Baraki i domy były zasypywane przez noc, łącznie z kominem. Sąsiedzi musieli odkopywać, żeby zasypani mogli wyjść. W takich śnieżnych buranach wiele osób zamarzło na śmierć albo odmroziło ręce i nogi. Nasz znajomy całą noc błądził po dachach i odmroził sobie obie dłonie, które musieli mu amputować.



Ryszard Sierpiński, około 1960 roku. Był wtedy inspektorem w Rejonie Lasów Państwowych w Chojnicach, OZLP Toruń. Zdjęcie udostępniła jego córka – Teresa Januszewska

### **POWRÓT DO OJCZYZNY**

Od Polski byliśmy oddaleni około 6000 km. Przez cały czas myśleliśmy tylko o powrocie. Dokumenty stwierdzające obywatelstwo polskie mieliśmy zaszyte w ubraniach i nosiliśmy przy sobie. W czasie rewizji często zabierano dokumenty, a później przy wyjeździe tylko obywatele polscy mieli prawo do repatriacji. Wielu Polaków przy spisie ludności podawało na zesłaniu narodowość ukraińską albo białoruską. W ten sposób polepszyli sobie trochę byt. Jednak wyjechać w 1946 roku już nie mogli. Widzieliśmy w naszym sowchozie takie tragedie.

Wróciliśmy w maju 1946 roku do Łobezu w województwie szczecińskim. W 1952 roku ojciec przeniósł się do Chojnic i pracował w toruńskiej dyrekcji Lasów Państwowych. Tu osiedliliśmy się na stałe.

Rodzice już nie żyją. Na pewno pamiętali więcej szczegółów, ale w czasach ustroju komunistycznego nie wolno było o tym mówić i pisać. Przeczytałam apel o opisywanie wspomnień w czasopiśmie „Twój Styl” i postanowiłam napisać.

**Teresa W. Januszewska** (z domu Sierpińska)

Zdjęcia: archiwum

PS Historię inspektora Ryszarda Sierpińskiego i jego rodziny opisała jego córka Teresa Januszewska z domu Sierpińska. Historia była opublikowana w opracowaniu Józefa Brody pt. „Wśród śniegów i bagien tajgi” przez Wydawnictwo Akademii Rolniczej w Poznaniu w 2004 roku (strony od 243 do 253).

*Redakcja składa podziękowanie dla Wydawnictwa Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu (kontynuatorowi Wydawnictwa AR) za wyrażenie zgody na przedruk biogramu Ryszarda Sierpińskiego.*

---

<sup>1</sup>Ten wyjazd nie był z Warszawy, lecz z Pińska na Polesiu.

<sup>2</sup>Z tych siedmiu samochodów ubyły dwa, którymi sześciuosobowa grupa z ekipy Adama Loreta wyjechała, po krótkim odpoczynku, z kasą Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych i innymi dokumentami do Wilna i tam dojechała. O tym autorka nie pisze. Informacja powyższa pochodzi od F. Szkiłłądzia, kierownika biura finansowego DNLP, który znajdował się w tej grupie (Twórcy i organizatorzy leśnictwa polskiego na tle jego rozwoju. PTL, Warszawa 1967, s. 125-126).

<sup>3</sup>Rola porucznika, towarzyszącego ekipie Loreta, jest mocno podejrzana. Wszystko wskazuje na to, że był on szpiegiem na rzecz Związku Radzieckiego. Świadczy o tym jego „zniknięcie” przy okazji wyjazdu po paliwo do Leśnictwa Kleciszcze (odległość między siedzibą nadleśnictwa a bazą paliw w tym leśnictwie wynosiła według mapy około 15 km śródlądowej drogi). Brak paliwa uniemożliwił ekipie Loreta wyjazd w dalszą drogę. Jeszcze bardziej wskazuje na to jego „przedostanie się” w warunkach wojennych z północno-wschodniej Polski aż do Grecji (zapewne został tam przerzucony przez służby radzieckie z nowymi zadaniami szpiegowskimi w rejonie cieśniny Bosfor-Dardanele i Bliskiego Wschodu). Dowodzi tego także uzyskanie przez niego adresu do nadleśniczego Sierpińskiego, znajdującego się już w odległym obozie na południe od Archangielska.

<sup>4</sup>To był głos W. Mołotowa.

<sup>5</sup>Prawie wszyscy autorzy relacji mówiący o miejscu aresztowania A. Loreta (F. Szkiłłądz, W. Bujak, A. Wierzbicki, B. Szymański) podają błędną lokalizację na szosie od Nalibok do Iwieńca. Powyższy błąd wynikał zapewne z tego, że utożsamiali oni nazwę miejscowości (miasteczka) Naliboki z nazwą siedziby Nadleśnictwa Naliboki, oddalonej 16 km na zachód.

<sup>6</sup>Brak danych, czy i kogo wywieziono na Kołymę, a także czy zwolniono kogokolwiek z aresztowanych.

<sup>7</sup>Według mapy jej nazwa brzmi: Kubiena (a nie Kubina).